№ 41. Warszawa, dnia 28 Września (10 Października) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Z LITERATURY CZESKIEJ.

„TWARDOWSKI".

POEMAT

Jarosława Vrchlickiego.

Praga. Drukiem i nakładem Fr. Szimaczka, 1885 r.

PRZEZ

Miriama.

(Dokończenie.)

W części dziewiątej („*Zgniłe dusze*") Twardowski, zniecierpliwiony, że dyabeł ukazuje mu tylko ciemne strony wszystkiego, zabiera mu powietrzny płaszcz i sam ulata w górę: „Chcę obejrzeć ludzkiem okiem, co tam w górze za obłokiem". W ciszy bezgranicznej, między niebem a chmurami, straszna tęskno'a stokroć silniejszym zaczyna pałać w nim ogniem:

„Gdzieście, o żywioły? w jakiej grocie tajemniczej wasze siły tworzą świata ruch i życie prawdy! Światła! pić mi dajcie! Duchu, skryty w ogniu, w rosie, przez którego świat na osi swej się trzyma zawieszony, jako pająk w sieci: Prawdy! Światła! daj mi pić!"

Zamiast prawdy atoli spotyka małego czarcika, niosącego w mieszku dusze nikczemników, pochlebników, podlizuchów, darmozjadów, błaznów, głupców, oszustów i świętokupców, filozofów i krytyków, dusze osłów, kłamców, łgarzów, pedantów; bab plotkarek, arlekinów, maryonetek, mnichów, żdzierców" i t d. Towarzystwo niezbyt miłe. To też Twardowski „z bólem zachmurzoną twarzą nazad opuścił się ku ziemi, szukał prawdy, strumieniami światła płynąć chciał w przeczuciu bóstwa, a co znalazł?—Zgniłe dusze".

W pieśni jedenastej („*Ostatnie dni Twardowskiego*") znajdujemy Twardowskiego w Tatrach, nad Morskiem okiem. Nie mogąc nigdzie znaleźć prawdy, postanowił szukać jej na łonie przyrody, lecz i tu spotkał ciemność, chłód i obojętność. Dyabeł szydzi z tego wiecznego dążenia do prawdy.

„Waryacie lepiej byś psa zdechłego kopnął, więcej byś może pożytku miał z tego! Tutaj cię olśni prawdy świetny opal i zginiesz—tam byś miał przynajmniej smród"!

Przechodzi staruszek ksiądz, idący z Sakramentem do chorego; dyabeł przerąbuje kładkę na potoku, ksiądz śmiało idzie przez wodę, lecz poczyna tonąć; Twardowski zmusza dyabła, aby go wyratował na swym powietrznym płaszczu i zaniósł do chorego. Następna scena. Noc. Twardowski siedzi przed swą grotą i gorzkie myśli biegną mu przez głowę:

„O nędzny! bij się w chorą czaszkę i wstydź się wstydź! Co ten ksiądz stary zrobił już dobrego, jakże on wielki przed swym Bogiem!"

Przychodzi tenże ksiądz staruszek, który jak się okazuje dalej, chrzcił Twardowskiego, i w słowach pełnych słodyczy i umiarkowania nakłania go do żalu, do innego życia i opowiada mu o losie ojca, nie tego, którego widzieliśmy w domu obłąkanych, lecz prawego męża jego matki, — że *czyn* pokochał i nie szczędził krwi swej dla tego, co najdroższem winno po ojcu, matce, być każdemu, że gdzieś na wschodzie dalekim żyje, a może umarł już w nędzy. Rozpacz zdejmuje Twardowskiego. Więc gdy inni to czynili, on nędznie bawił się i żądzom swym dogadzał:

„Ach ojcze, ojcze, gdybyś wiedział, jaki żal wyje w piersiach mych, z radością na mnie byś spoglądał, czy z kraju, kędy wieczny śnieg, czy z gwiezdnych łąk niebieskich.

Jedno go teraz przejmuje pragnienie, odszukać i zobaczyć ojca swego. Zmusza dyabła, aby go niósł na wschód. Lecą. Na widok tych stepów śnieżnych, nieprzejrzanych, gdzie „śmierć na śniegu krwią vae victis pisze" gorzki okrzyk boleści i wyrzutu wyrywa się z piersi Twardowskiego, a gorycz jego dosięga szczytu, gdy między mijającemi go cieniami zmarłych poznał ojca.

Scena ostatnia tej pieśni odbywa się w karczmie

w Rzymie. Twardowski broni się nowonarodzonem dzieckiem, na zarzut dyabła o *verbum nobile*, kładzie je, lecz nie chce dobrowolnie oddać się czartu. Wszczyna się bój wściekły, Twardowski słabnie, czart go porywa za sobą, już lecą, gdy wtem z uciśnionej piersi czarodzieja wydziera się pieśń do Maryi Panny, którą śpiewała kiedyś pierwsza jego miłości ofiara. Głos z góry wstrzymuje lot szalony. Twardowski zawisł między niebem, a ziemią.

Część dwunasta: „*In excelsis*". Idą lata za latami jak cienie wzdłuż ściany, a Twardowski śród przestworza wisi bez odmiany. Wyschłe jego ciało, ale dusza żywa z tęsknotą się w przestrzeń bez granic wpatruje i szuka, szuka nieustannie ziemi, którą mgła w dole kryje skrzydły swemi. Lecz nic nie widzi—pusto, głucho w około—wiatr tylko wyje pędząc czarne chmury. Nagle w tej nędzy i rozpaczy, Twardowski czuje, że coś małego siada mu na uchu i szeptać poczyna. To jego uczeń, niegdyś zmieniony w pająka; prządł swoją nitkę dalej, wyżej, by dostać się do pana. Raz wiatr mu ją zerwał, potem znów ptak wpadł w nią i potargał; cierpliwy pająk, spadłszy na ziemię, prządł nową nie dłuższą, raz był już nad chmurami, gdy ujrzał jakąś kulę, oplecioną sznurami, szybującą w powietrzu; pod nią wisiała maleńka łódeczka, w niej postać człowieka, a głos ludzki zawołał: „Patrzcie, dokąd pająk zabłądził!"

I nitkę raz jeszcze zerwano. Ale pająk znowu prząść zaczął i oto jest przy swym panu. Wzruszony tą wiernością, Twardowski pyta go, co się dzieje na ziemi? Smutna opowieść pająka: pola krwią bratnią zlane, ludzkość cała w pętach, które sama sobie ukuła, świat cały jako starzec, zmęczony brzemieniem nędz i lat; władnie, kto lepiej kłamie i ma pięść mocniejszą; litość jest próżnem słowem, zapał jest kłamstwem, miłość jest maską; ciężką karą jest życie.

Nie chciej, o panie, nie chciej na ziemię, tam pobyt nie byłby ci miły: to bagno, w którem człowiek płazem!

Po tych słowach pająk spuścił się na dół, obiecując przyjść drugim razem. Twardowski patrzał za nim, a ból straszny rozrywał mu serce. Naprzód, zaczął jęczyć do Boga tą modlitwą, której kiedyś uczyła go matka, ale nagle wybuchnął skargą namiętną, czuł w sobie światy nieprzejrzane, czuł, że jest duszą ludzkości, która cierpi i przeczuwa, która jęczy i boleje i we mgłach bada. W hymn wrzący na usta zbiegło mu wszystko, co ludzkość gniotło, zastępy śpiewały w tej jego pieśni, duchy wstawały w niej, a męczennicy z płomienną twarzą krew swą w niej leli:

„O Panie, pocoś w głębiny rzucił tę kulę świata, skoro losowi ślepemu ją pozastawiasz, czemuś stworzył człowieka, gdy udziałem jego ma być nędza i nieszczęście. Na co mu niebo, gdy nie może zbawić sam siebie? Wydałeś go ciemnościom, jak listek, który wiatr przez świat unosi. Tyś niebo nad nim schylił ugwiażdżoną lirę, o wróć mu też natchnienie i wiarę w siebie. O Panie! czemu w sercach zamknąłeś nam lwice, co śpią spokojnie długie, długie lata i nagle zbudzone wściekle rzucają się na drzewo szczęścia, gdy nam ono najlepiej zakwita? Na co ta dzika wściekłość, aby mordować swe proroki i nienawidzieć tych, których płomień natchnienia świeci ludzkości w ciemnościach wszechświata? O Panie, wielkim byłeś w swojem dziele, chwalą Cię wody, wiatry, chmury, morze; lecz gdyś człowieka stwarzał, chwila słabości przypadła na Cię, bo z nim stworzyłeś nędzę i cierpienie; Twój siódmy dzień jest niedokończony i Twoje słowa muszą świat stworzyć na nowo, by ludzki duch mógł władać w nim. Tyś schylił nad nim niebo, ugwiażdżoną lirę, o wróć mu też natchnienie i wiarę w siebie!"

Hymn ten zaliczamy śmiało do najpiękniejszych utworów poezyi lirycznej. Scena ostatnia tej pieśni przedstawia jakby proroczą wizyę przyszłości, odrodzenia świata. Oto, jak je rysuje poeta.

Biegną lata, Twardowski wciąż wisi w przestworzu, ciało wyschłe, ale dusza żywa, pełny tęsknoty spogląda w przestrzeń i nieustannie wielki hymn swój śpiewa. Nagle znów czuje pająka przy swem uchu, słyszy radosny szept jego:

O panie mój, panie blady! teraz krzyknij z radości, strząśnij swą omdlałość, ludzkość już wstaje! Wicher olbrzymi przez świat przebiega szalonym lotem! Na ziemi wiosna, wszystko powstaje ze snu! Pękają okowy, więzienia się walą, a człowiek na nowo w blaskach światła rodzi się, tworzy! Myśl panuje nad duchów światem, słodyczą swą łagodzi, siłą przeświadcza, zbawia swym kwiatem! Gdzie miecze, pytasz? Nie ma ich już, a człowiek półbóg wznosi, duch jasny, ku światłu swą twarz!"

I dziko Twardowski zakrzyknął z radości, a wykrzyk jego wstrząsnął bramą raju:

„Słyszysz mnie, Panie! Daj, niechaj spadnie ciało me na świat. Mam w Ciebie wiarę! W szczęściu ludzkości, w zorzach odrodzenia, niechaj sam jeden tu się nie morzę. Zrzuć mnie w głębiny, zakończ me życie, zakończ mą boleść.

Głos z góry:

Spadnij na świat,
Jak zwiędły kwiat;
Ból życia złóż:
Zbawionyś już!

I Twardowski spadł na ziemię, jako kwiat czereśni.

* * *

EPILOG.

On już spokój ma, ty jeszcze idziesz w bój, ma pieśni.

Poeta ma słuszność. Pieśń jego idzie w bój, bój straszny, na śmierć lub życie, z temi zgniłemi duszami, które pojmując dobrze, jak dalece stan dzisiejszy ludzkości nie odpowiada idealnym jego pragnieniom i potrzebom, starają się jednak wszelkiemi siłami ten stan rzeczy utrzymać, bo to dogadza ich samolubnym celom. Bój ten rozpoczął się już. Początek walki dał zwycięztwo zgniłym duszom, ufamy wszak, że koniec będzie inny. Kiedy? Czekajmy.

TAK KRÓTKIEM JEST TO ŻYCIE!

Tak krótkiem jest to życie! doprawdy, czyż warto
Płakać nad każdym cierniem co nam stopy rani,
Ubiegać się o kwiatek, który nam wydarto,
Wzdychać do bladej gwiazdy, albo szaleć dla niej?

Tak krótkiem jest to życie i całkiem niezdolne,
Uchronić nas od cierni, lub przyciszyć jęki:
Jesienią od zagłady ustrzedz kwiaty polne,
Lub gwiazdę niedościgłą podać nam do ręki!

Tak krótkiem jest to życie, a po niem dopiero
Poznamy całą marność dzisiejszych zabiegów,
Rzuciwszy na nie okiem z nad wieczności brzegów:

Gwiazdy, ciernie i kwiaty, z bezstronnością szczerą,
Zaliczym w sprawach ziemskich do równych szeregów;
Z oceny ich wypadnie: jedno wielkie zero!

Emilia.

ZA GÓRAMI.

NOWELLA

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Jeżeli bowiem cała powierzchowność mieszkanki tego ustronia, jej sposób wzięcia się tyle różny od szorstkich częstokroć narowów widzianych dotychczas przezemnie góralek, zdumiały mnie na wstępie, to pokój a raczej salonik którego próg przestąpiłem, równie niezwykłe wywarł na mnie wrażenie.

Całe wnętrze jego odpowiadało najwybredniejszym światowym wymaganiom.

Gustowne meble, podłoga wysłana miękkim dywanem, cenne albumy i palisandrowe pianino Erarda, z rozłożonym na pulpicie utworem Szuberta, okazywały nietylko smak wyrobiony, ale pewną zamożność i estetyczny gust, tej która w tych nieodpowiednich do zajmowanego przez siebie stanowiska, przedstawiała się warunkach.

Ona, o ile sądzić mogłem z uśmiechu jaki igrał na jej ustach, odgadła zapewne to wrażenie.

— Widzę—rzekła—że pan nie możesz zdać sobie sprawy z różnicy zachodzącej pomiędzy skromną pozycyą zagrodnika, ze zbytkiem jaki mnie otacza, ale ten pokój w którym się obecnie znajdujemy, stanowi wyjątek. Wszystkie inne są to zwykłe a więcej odpowiednie do zasobów naszych, izby. Poczciwy mój mąż chciał koniecznie zajmowany przezemnie kącik, uczynić ponętnym i rozkosznym: nie mogłam oprzeć się jego woli.

Domawiając powyższych wyrazów, otworzyła drzwi prowadzące do dalszych części domu. W istocie, następne komnaty były czyste, schludne, ze świeżo pobielonemi ścianami, ale nie różniły się w niczem od zwykłych chat góralskich.

Jeszcze nie miałem czasu zebrać swych myśli ażeby zdać sobie sprawę ze wszystkiego co mnie otaczało, gdy w progu drzwi wchodowych stanął wysokiego wzrostu mężczyzna.

— Jak się masz moja koteczko!—zawołał przyciągnąwszy ją do siebie i złożywszy na jej rumianem obliczu głośny pocałunek.—Tęskniłaś za mną, wszak prawda? ale praca przedewszystkiem, bez niej nie mielibyśmy co jeść.

Wtedy dopiero ujrzał mnie stojącego na stronie i zmieszanego tym zbyt poufałym objawem czułości małżeńskiej.

— A, pan... przepraszam, nie uważałem. Zapewne podróżny?

— Tak jest, pragnąłem zapytać o drogę.

— O, na to nigdy nie pozwolę, abyś zaraz odjechał. Przenocuj, a jutro... pomówimy.

— Obawiam się nadużyć...

— Co znowu? U mnie co na sercu to i na języku: jeżeli zapraszam, widocznie rad jestem gościowi. Hej Lizetto!... dodał zwracając się do wchodzącej dziewczyny: pościelesz panu w mojej izdebce, sam będę spał pod strychem.

Spojrzałem wtedy uważniej na niego.

Powierzchownością swoją nie różnił się w niczem od postaci spotykanych dotąd w czasie wycieczek moich. Ubrany był w krótką sukienną kurtkę i takież ciżmy sięgające wyżej kolan, szeroki skórzany pas okalał mu biodra. Na pięknej choć ogorzałej od słonecznych promieni twarzy, malował się wyraz dobroduszności połączonej z pewnym odcieniem energii charakteru.

Wszystko to razem wzięte stanowiło cechę owej roboczej klasy ludności, która przez całe swe życie poświęcając się trudom i znojom, nie ma sposobności nabrać tej ogłady towarzyskiej, będącej udziałem uprzywilejowanych warstw społeczeństwa. Mniej naturalną jednakże wydawała mi się tak widoczna różnica wychowania, pomiędzy nim a jego małżonką.

W istocie krańcowość podobna mogła zadziwić mniej nawet pochopnego do przyjmowania zewnętrznych wrażeń człowieka.

— Zapominasz kochany Piotrze—rzekła dźwięcznym swym głosem młoda kobieta w chwili gdy służąca zabierała się do wykonania danych poleceń, iż gość nasz znużony podróżą, potrzebuje zapewne posiłku.

— Ah! prawda, jakież roztargnienie. Idź, przyrządź wieczerzę a niezapomnij i o dzbanku jabłeczniku, wiesz, tego, który zwykłem pijać w rzadkich uroczystościach.

Wkrótce potem zasiedliśmy we troje przy stole nakrytym białym jak śnieg obrusem. Wieczerza niewykwintna wprawdzie ale smacznie sporządzona składała się: z chleba, sera, jaj na miękko i sarniego udźca, zroszonego parą szklanek orzeźwiającego napitku.

Zaspokoiwszy pierwszy apetyt, prowadziliśmy dalej przerwaną na chwilę rozmowę.

Jak zwykle w podobnych razach bywa, za główne tło pogawędki służyły miejscowe stosunki, zajęcia gospodarskie, jednem słowem ów ograniczony horyzont zamkniętego w odosobnionej dolinie światka.

Obcy, nieznany, nie miałem prawa bez uchybienia prawidłom tak serdecznie mi udzielonej gościnności, dotykać przedmiotu najwięcej mnie obchodzącego.

A jednakże oprócz tyle wybitnej różnicy pomiędzy małżonkami, wiele innych jeszcze szczegółów obudziło moją uwagę.

Dotychczas wymienialiśmy myśli nasze w języku francuzkim, mowie jaką ludność tamtejszego kantonu wyłącznie używała. Początkowo, przy wstępie moim do tego domu, spostrzegłem w wysłowieniu pięknej gosposi jakiś odcień cudzoziemskiego akcentu, zacięcie owe jednakże było jeszcze widoczniejszem u jej męża.

Nie mogąc dłużej wstrzymać mej ciekawości, zapytałem:

— Państwo nie tutejsi?

Widocznie zmieszana spojrzała na małżonka.

— Tak jest — rzekła po chwili z niejakiem wahaniem — ale teraz Szwajcarya stała się naszą ojczyzną.

— Nie zawiodły mnie przeczucia, jesteście anglicy — mówiłem dalej, wzruszony tem odkryciem. — Wybornie, doskonale: możeby więc rodzinnym tłomaczyć się językiem.

Uważałem, iż wiadomość o mojem pochodzeniu zaniepokoiła ich zrazu; wymieniwszy jednak pomiędzy sobą znaczące spojrzenie, zastosowano się do moich życzeń.

Przerwana w pierwszej chwili tem odkryciem rozmowa, ożywiła się stopniowo.

Niekrępowani odtąd zwrotami obcego narzecza, wymienialiśmy nasze myśli z większą swobodą, dotykając kolejno różnych przedmiotów.

Ona w każdem wyjawionem zdaniu okazywała niezwykłe wykształcenie umysłowe, w jego znowu poglądach aczkolwiek do ciaśniejszej sfery pojęć zastosowanych, tkwiła owa prostota uczciwości, cechująca ludzi prawych, zacnych, których nic nie zdoła sprowadzić z drogi obowiązku.

Nie spostrzegłem się jak szybko przeszedł ten wieczór.

Czas było pomyśleć o spoczynku.

Gospodarz ująwszy w rękę świecę, zaprowadził mnie do sypialni.

Pożegnawszy go ległem na posłaniu, ale sen nie chciał skleić moich powiek.

Wszystko co widziałem i słyszałem wydawało mi się dziwnem i niewytłomaczonem. W przeszłości tej rodziny istniała jakaś tajemnica, którą napróżno pragnąłem zgłębić. Daremnie wysilałem umysł czyniąc różne przypuszczenia, żadne z nich nie miało cechy prawdopodobieństwa. Były nawet chwile, w których przypomniawszy sobie o pewnym rodzaju trwogi, jaką objawili mimowolnie oboje gdym odkrył ich narodowość, krzywdzące podejrzenia owładnęły mem sercem, ale zaraz potem odrzuciłem precz ze wstrętem tę myśl tyle niezgodną z zasadami zdrowej logiki. Zaledwie mi stanęło w pamięci owo pełne szczerej otwartości i męzkiej energii oblicze właściciela zagrody i ten poetyczny urok wiejący z całej postaci jego towarzyszki, wstydziłem się swych posądzeń nie opartych na żadnym racyonalnym powodzie.

Ona szczególniej, która niby nadziemskie zjawisko od pierwszego wejścia mego w progi tego ustronia, wywarła na mnie tak głębokie wrażenie, miałażby być niegodną szacunku istotą?

Nie, precz z podobnem przypuszczeniem!

Kto chce plamę wyszukać na białej sukni anioła, ten ubliża samemu sobie, ten nie wart nawet przelotnego mignięcia ułudy, jakiem losy przeznaczenia przypadkowo go obdarzyły!

Bijąc się tak z myślami pośród których błysł oświetlony promieniem wkradającego się w serce moje uczucia, obraz czarodziejki, usnąłem.

Nazajutrz zostałem zbudzony pluskiem deszczu uderzającego gwałtownie o szyby okien zajmowanego przezemnie pokoiku.

Ani słyszeć nie chciano o mojem wydaleniu.

— Nie wiecie zapewne — rzekł gospodarz, kiedy mu objawiłem zamiar udania się w dalszą podróż — czem są nasze wąwozy w czasie podobnej ulewy. Na każdym kroku grozi śmierć niechybna, nawet obeznanym z miejscowością góralom, a cóż dopiero mówić o tych, dla których obcemi są Alpy z ich niezgłębionemi przepaściami.

— Musisz pan zrobić poświęcenie zostając z nami — dodała jego żona — a jeżeli przedłużony ów pobyt w naszej chacie, wyda mu się uciążliwym, to wspomnienie o przyjemności jaką nam tem ustępstwem sprawisz, wynagrodzi może doznany zawód.

Zaproszenie powyższe, chociaż uczynione w formie zwykłej towarzyskiej grzeczności, miało w jej ustach niewypowiedziany powab. Zresztą choćby nawet nie istniały powody, których sam przed sobą wyznać nie śmiałem, to srożąca się coraz bardziej burza, uniemożliwiła wszelkie zachcianki odmówienia tak serdeeznie ofiarowanej mi gościnności.

Zostałem.

Nie zdołam nigdy opowiedzieć doznanych w ciągu tego dnia wrażeń.

Gospodarz przeprosiwszy mnie, wyszedł wkrótce dla dopełnienia obrachunku tygodniowego z czeladzią.

Znalazłem się z nią sam na sam.

Zawiązana pomiędzy nami rozmowa nie była zrazu nader ożywioną. Towarzyszkę moją widocznie krępowała obawa, ażeby nie wypowiedzieć czegoś, mającego związek z przeszłością; ja znów powodowany uczuciem prostej delikatności, omijałem każdy szczegół, mogący wzbudzić posądzenie, iż pragnę zbadać tak starannie ukrywaną przedemnie tajemnicę.

Powoli jednak i nieznacznie pierwotna ta przeszkoda tamująca swobodniejszą wymianę myśli, ustąpiła chęci podzielenia wzajemnie swych spostrzeżeń. Ile razy dwie osoby jednego towarzystwa, jednej sfery, choćby nawet zupełnie sobie nieznanych, znajdą się razem, to zawsze wspólność poglądów, pojęć i usposobień, stanowi pomiędzy niemi łącznik zbliżający je powierzchownie ku sobie.

To samo i tu miało miejsce.

Nie dotykając osobistych stosunków, mówiliśmy o wszystkiem po trochu. Nauki, poezya, kunszta i sztuki piękne, były tłem do rozwinięcia spostrzeżeń i wniosków zajmującej pogawędki. Obeznana z literaturą, wielbicielka piękna pod jakąkolwiekbądź ono pojawiło się formą, umiała z każdego szczegółu wysnuć samodzielny pogląd zadziwiający gruntownością wyrażonego zdania. Spostrzegawczy jej umysł dotarł częstokroć do szlaków mniej dla ogółu przystępnych a i wtedy jeszcze pełen uroku wdzięk, jakim nacechowane było każde wymówione słowo, ubarwiał teoryą na pozór suchą i jałową tętnem życiowego ciepła.

Byłem zachwycony!

Pod wpływem tego wrażenia nie rachowałem ubiegających godzin.

Nastała pora obiadowa, mąż jej skończył swoje zatrudnienia, siedliśmy więc znowu wszyscy troje za stołem.

Rozmowa naturalnie inny zupełnie wzięła kierunek. Miasto bujania po górnych przestrzeniach zstąpiliśmy na ziemię. Zajęcia rolne, pożytki jakie wyciągnąć można przez udoskonalenie tej gałęzi dobrobytu krajowego z systematycznem zastosowaniem przemysłu, stanęły obecnie na pierwszym planie. Bliższe poznanie mojego gospodarza, utrwaliło powziętą na wstępie o nim opinią. Zdrowy rozsądek, prawość charakteru, niezłomny hart ducha przemawiały za nim; brak wyższego wykształcenia i poloru światowego stanowiły znowu ujemną jego stronę.

Czyliż więc te dwie istoty, tyle różne we wszystkiem, mogły czuć dla siebie zobopólną miłość.

Że on ją kochał, nie wątpiłem, widzieć tę czarodziejkę i nie uwielbiać jej było rzeczą niepodobną.

Ale ona?

W tem właśnie zapytaniu, które bezwiednie sobie zadałem, istniał dla mnie cały świat przypuszczeń, domniemywań i wyrzec muszę, żarzewie dalekiej, nieokreślonej jeszcze nadziei.

Postanowiłem przy pierwszej sposobności rozwiązać ową zagadkę.

Po skończonym obiedzie zajęła miejsce przy fortepianie.

Należałem zawsze do gorących zwolenników muzyki, stawiając uczucie w grze wyżej od biegłości wykonania; u niej jednak obie te cechy uderzały najmniej nawet zdolnych, ocenić prawdziwe talenty słuchaczy.

Pokonawszy wszelkie trudności mechaniczne w koncertowych sztukach Liszta, umiała wydobyć z utworów więcej do serca przemawiających tyle rzewności, słodyczy i poetycznego wdzięku, iż tony z pod jej palców płynące przenikały do głębi duszy, niby owa nadziemska melodya serafów dźwięcząca w snach ukołysanych rozkosznemi marzeniami wieszcza.

Kiedy nareszcie ostatnie akordy pieśni Szuberta skonały w powietrzu, a ja zostając pod wpływem doznanych wrażeń poddałem się tęsknym dumaniom, mąż jej przerwał panujące milczenie:

— Dziękuję ci, koteczko, za przyjemność jaką nam sprawiłaś.

Wyrazy te owiały mnie nagle chłodem rzeczywistości.

— O, tak — rzekłem machinalnie — ta pieśń była cudowną!

— Nieprawdaż? widzę, że i pan także lubi muzykę, ja za nią przepadam. Bo też przyznać trzeba, że moja żona biegłą jest w swojej sztuce i nic dziwnego, od najmłodszych lat kształciła się w różnych talentach: gra, rysuje, maluje...

Zdumienie moje doszło do ostatecznych granic.

— Czy to być może! — zawołałem.

— Jest w tem trochę przesady — odpowiedziała zmieszana — zajmuję się wpawdzie w wolnych chwilach rysunkami i muzyką, ale nieudolne moje próby zbyt są małoznaczne, aby zdołały zwrócić czyjąkolwiekbądź uwagę.

Wymówiwszy te słowa spojrzała na męża znacząco, jak gdyby obawiając się ażeby za wiele nie powiedział.

Zrozumiał widocznie to nieme wezwanie, gdyż zaraz potem zaczął mówić o czem innem.

Po chwili wywołano go znowu z pokoju.

Zostaliśmy sami.

— Co za ulewa! — rzekła przerywając milczenie, które z chwilą odejścia gospodarza zapanowało pomiędzy nami. — Przebycie gór stało się zupełnie niemożliwem; pomimo woli musisz pan pozostać kilka dni w tej pustyni.

— Pomimo woli! — szepnąłem i wyrazy ogniste, namiętne, gorączkowe, cisnęły się gwałtownie do ust moich.

Ale zimny rozsądek wziął górę nad obłędem szału.

Zdołałem stłumić w sobie objaw miotających mem sercem uczuć.

— Mnie — odpowiedziałem, starając się nadać słowom moim cechę zwykłej towarzyskiej pogawędki — mnie chwilowemu gościowi błogo tu i spokojnie, lecz dla pani czyliż to życie zamknięte, odosobnione, może mieć jakikolwiekbądź powab?

Spojrzała na mnie zadziwniona.

— Jakto, więc pan nie pojmujesz mojego szczęścia?

— Szczęścia?

— Tak jest, czyliż może być na świecie coś bardziej godnego zazdrości, jak urzeczywistnienie wszystkich swych dziecięcych marzeń, najsłodszych nadziei, najgorętszych porywów serca.

— Nie rozumiem.

— W takim razie żal mi pana szczerze, bo widzę żeś nigdy nie kochał!

I ona mogła to wyrzec... ona!

O, gdyby wiedziała co się w tej chwili w głębi mej duszy działo.

— Nie zaprzeczy pan — mówiła dalej, gdym szukał odpowiednich wyrazów, któreby nie zdradzając tajemnej myśli, oddaliły posądzenie o brak tkliwych uczuć — nie zaprzeczaj — powtórzyła — obojętni albowiem tylko na wrażenie prawdziwej miłości nie zdolni są pojąć całego uroku szczęścia, gdy wszystkie dni życia naszego dzielimy z ukochaną istotą.

Opuściwszy z przygnębieniem głowę na piersi, milczałem.

— O, jak ja go kocham! — zawołała poddając się prądowi swych wrażeń — tego żaden język wypowiedzieć nie zdoła. On jest dla mnie przyjacielem, bratem, mężem... wszystkiem! Ta oddalona od reszty świata dolina, to ciche ustronie pozbawione społecznego ruchu, ożywione jego obecnością, wydaje mi się być rajem!

(*Dokończenie nastąpi.*)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

II.

Przygotowawcze prace. — Wyprawa Lockwooda do przylądka Lupton. — Wyprawa pod dowództwem doktora Pary.

Po przeprowadzeniu wewnętrznych urządzeń, zamierzono bez straty czasu uskutecznić przygotowawcze prace, będące niejako wstępem do wiosennej wyprawy. Podbiegunowych kolonistów ożywiała jedna wspólna myśl, aby posunąć się dalej ku północy, aniżeli uczynili to anglicy pod dowództwem kapitana Markhama.

Dla osiągnięcia tego celu gotowi byli amerykanie narazić się na największe niebezpieczeństwo, znieść głód, choroby, utracić życie nawet, w tem przekonaniu, że osobiste ich ofiary zwiększą narodową sławę. Mając jednak przed sobą dwa lata czasu działali z wielką ostrożnością, bez zbytniego pośpiechu, chcąc każdą czynność zamierzoną rozważyć dokładnie, przewidzieć wszelkie możliwe zawady i dopiero wprowadzić ją w wykonanie, skoro przezwyciężenie takowych w teoryi przynajmniej będzie przypuszczalnem.

Przedwstępne te prace zasadzały się głównie na przewiezieniu i złożeniu zapasów żywności wzdłuż brzegów wysp, oznaczonych ogólnem mianem Grenlandyi. Tym sposobem zapewniano utrzymanie dla uczestników wiosennych wycieczek, gdyby nieszczęśliwy zbieg okoliczności zniewolił ich do odwrotu. Prócz tego major Greety wysłał porucznika Lockwood dla odwiedzenia grobu kapitana Halli rozpoznania, czy postawiony temu marynarzowi pomnik nie był uszkodzony, również jak złożone tam artykuły żywności. Wycieczkę tę utrudniał wielce brak słonecznego światła, księżyc również znikł ze sklepień niebieskich, a północne zorze nie wystarczały do oświetlenia drogi podczas tyle niebezpiecznej podróży. Prócz tego wielkie mrozy zniewoliły dowódzcę wrócić do warowni Conger przed osiągnięciem zamierzonego celu. Wszyscy prawie pod komendą Lockwooda, również jak i on sam mieli odmrożone nogi, ale doktor Pary zwalczał prędko to cierpienie, używając tych samych środków co do leczenia oparzelizny. Aż do miesiąca Lutego 1882 roku członkowie naukowej kolonii zostawali we względnej bezczynności, dopiero dnia 19 tego miesiąca, na siedm dni przed powrotem słońca, wysłano powtórnie porucznika Lockwood dla zbadania powyż wymienionych szczegółów, dodając mu do pomocy ludzi odznaczonych największą odwagą i wytrwałością. Na wielkie sanie przywiezioną z Ameryki złożono żywność również jak zabezpieczające od zimna przedmioty, a do ciągnięcia takowych użytu psów, zabranych głównie w tym celu. Zwierzęta te chociaż zrodzone na północy, były mniej wytrwałemi na zimno, aniżeli ludzie przybywający z bezporównania cieplejszych okolic. Znaczna ich liczba w ciągu kilku miesięcy utraciła życie, skutkiem zwiększającego się stopniowo odrętwienia, ale na szczęście doznany ubytek zastąpiły zostające pod opieką doktora Pary.

Grenlandzkie psy odznacza wielka zmyślność, zdają się odgadywać myśli i zamiary towarzyszących im ludzi. Skoro kierunek drogi nie nastręcza żadnej wątpliwości, pędzą szybko, ciągnąc sanie bez obcej pomocy.

W razie jednak wątpliwości co do dalszego kierunku, zwierzęta te zatrzymywały się dla odebrania koniecznej dla nich wskazówki, co również miało miejsce skoro napotkały niepodobną do przezwyciężenia zawadę.

Niekiedy jednak od czasu do czasu stawały nagle na miejscu, podnosząc uszy w górę z przytłumionem szczekaniem.

Przyczyną tego było poczucie w pobliżu niedźwiedzia na którego zaraz rozpoczynało się polowanie przy pomocy psów, zwolnionych z krępujących je zaprzęgów.

W powtórnej wycieczce porucznik Lockwood przybył szczęśliwie do przylądka Lupton, gdzie znalazł zrobiony w roku 1871 skład żywności bez najmniejszego uszkodzenia pod względem jakości; ilość jednak była znacznie mniejsza, prawdopodobnie późniejsza angielska wyprawa korzystała z pozostawionych zapasów. Dowódzca wycieczki otaczał wielką czcią pamięć wszystkich ofiar naukowych wypraw. Z religijnem skupieniem zwiedzał okolice będące grobem dla kapitana Hall, i zbierał troskliwie pozostałe po nim zabytki. Wśród śniegów i lodów w braku cieplejszego schronienia, wypadało naśladować przykład dany przez eskimosów i wznosić budy ze śniegu. Jedynie tylko przy pomocy tego środka można było uskutecznić wycieczkę, i przedłużyć pobyt wśród tylu nieprzyjaznych warunków.

Rzecz zaiste niepojęta, ale zabrani przez dokto-

ra Pary mieszkańcy Grenladyi, okazali mniejszą wytrwałość na zimno, aniżeli amerykanie.

Stosownie do polecenia majora Greety, porucznik Lockwood urządził nowy skład żywności w miejscu będącem kiedyś obozowiskiem dla załogi statku Polaris.

Czynność tę spełnił odznaczony wielkim zapałem do przedsięwziętego dzieła sierżant Brainard.

Zaznaczył on najwyższy znany dotychczas stopień zimna wedle Fahrenheita 61 poniżej zera, co odpowiada 54 st. zwykłej miary. Zimno na kuli ziemskiej zostaje w zupełnej równowadze z upałem, gdyż tenże stopień gorąca znalazł dzielny kapitan Contelle w okolicach Górnego Nilu.

Natychmiast po powrocie porucznika Lockwooda do warowni Conger; doktor Pary zażądał od majora upoważnienia do wycieczki pod wyłącznem swem kierowictwem. Zamierzył odbyć podróż saniami po lądzie dostrzeżonym przez kapitana Markhama, później po lodach pokrywających ocean, uznanych przez angielskich marynarzy za niepodobne do przebycia. Greety potwierdził przedstawiony sobie projekt, a chcąc ułatwić jego wykonanie, zalecił urządzić przedewszystkiem skład żywności w oznaczonym kierunku, a mianowicie w pobliżu zatoki Linkolna.

19-go Marca doktor opuścił warownię Conger w towarzystwie sierżanta Rice i eskimosa Jens. Podróżni zabrali z sobą znaczną liczbę psów, przeznaczonych kolejno do ciągnienia sani. Pary znając dobrze obyczaje tych zwierząt, nie wyprzedzał ich nigdy ale zostawał w tyle, wymawiając tylko od czasu do czasu wyrazy zachęcające do pośpiechu. Nie zostawały one bez skutku, psy pędziły z taką szybkością, że już nad brzegiem oceanu sanie uderzywszy o bryłę lodu, połamały się, stając się niezdatnemi zupełnie do użytku. Złowróżbny ten znak przeraził ludzi towarzyszących doktorowi, uważając dalszą podróż za niepodobną: tymczasem z największem ich zadziwieniem, Pary wydał rozkaz sierżantowi Rice i eskimosowi Jens, udać się pospiesznie do warowni po nowe sanie, a sam pozostał nad brzegiem oceanu z zamiarem oczekiwania ich powrotu. Wszelkie uwagi czynione w tej mierze pozostały bez skutku, doktor był niewzruszony.

Jakkolwiek bowiem major Greety zgodził się na wycieczkę pod dowództwem Francuza; jakkolwiek otoczył takową troskliwie swą opieką, ale byłby to dla niego wielki cios, gdyby nie amerykanin ale cudzoziemiec miał zdobyć wielką sławę, dotknięcia stopą swą centralnego punktu północnego bieguna. W tym stanie rzeczy byłby skorzystał z pierwszej nastręczonej sposobności do zatrzymania w obozie doktora, który przeczuwając tajemne myśli majora, wolał pozostać na miejscu, aniżeli narazić na szwank dalszy los wyprawy.

W międzynarodowem współzawodnictwie o pierwszeństwo w czemś obchodzącem świat cały, można przypuszczać najsmutniejsze następstwa. Pary więc mógł być zostawionym samotnie na lodowej pustyni i kto wie czyby nie zaszedł podobny wypadek, bez względu na zajmowane przez niego stanowisko doktora, gdyby nie zabrał ze sobą prawie wszystkie psy, a bez których dalsza działalność naukowej kolonii była niepodobną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ś. P.

Faustyn Świderski.

W zeszłym tygodniu zawiadomiono nas o śmierci ś. p. Faustyna Świderskiego, znanego wszystkim humorysty, ożywionego jak najlepszemi chęciami dla ojczystej ziemi i jak najzacniejszego człowieka.

Urodzony dnia 14 Lutego 1821 roku, kształcił się w Krakowie i w Niemczech a później mając lat 25 osiadł na roli i zajmował się gospodarką.

Kiedy razem ze zmarłym Henrykiem Lewestamem rozpoczęliśmy wydawnictwo „Wolnych żartów", ś. p. Faustyn Świderski był jednym z pierwszych co przystąpił do wspólnej z nami pracy i odrazu szczerym, niewymuszonym humorem, zwrócił ogólną na siebie uwagę. Ponieważ pismo to wydawano pod firmą Bocianów polskich, odbywały się też tygodniowe zebrania, zwane Bocianadami, przeznaczone na odczytywanie artykułów szerszemu gronku życzliwych.

Prace Świderskiego zawsze na nich ogólny oklask zyskiwały, tym sposobem zbliżony więcej do redekcyi przybrał nazwę Bociana z pod Pilicy, podznaczał się wyrobionym na drzewie łbem bocianim z dziobem na świder skręconym i do samego końca, dopóki „Wolne żarty" nie zostały zamknięte, pracował przy nich z największą gorliwością.

Tytuł ten Bociana, widać był mu miłym, bo później na wszystkich swych utworach rymowanych a ciągle w naszych humorystycznych pismach i w „Przyjacielu Dzieci" pomieszczanych, zawsze podpisywał się Eks-Bocianem.

Niepodobna przytaczać wszystkich tytułów prac ś. p. Świderskiego, są one rozrzucone po różnych wydawnictwach a część ich bardzo niewielka wyszła w oddzielnej książce w Częstochowie, nakładem przyjaciela na korzyść zacnego Autora.

We wszystkich nich widnieje myśl szlachetna, gorącą miłością kraju nacechowana a i ten humor prawdziwie staropolski, co ze wszystkiego lubi zażartować, nawet i siebie nie pomijając. Karci w nich zdrożności, wytyka wady, szydzi z przesądów kastowych, ale nie obraża, nie znęca się nad winowajcami i choć naśmiewa się z nich, czuć w tym głosie jakby ukrytą boleść, że musi do nich w ten sposób przemawiać.

Tego serdecznego słowa, tego bacznego poglądu na całą społeczność, nie w celu tylko wydrwienia, aby śmiech obudzić, ale z pragnieniem wywołania poprawy i upamiętania się, podniesienia moralnego, nie znajdzie pono w naszych dzisiejszych humorystach. Ś. p. F. Świderski zapewne jest ostatnim co tak serdecznie i z humorem umiał przemawiać do swych czytelników, co w każdej jego myśli lub uwadze, znać było zagon z którego wyrósł i co serce jego całą siłą ukochało.

Jakim był pisarzem, takim człowiekiem i obywatelem, co radził to spełniał w czynach całego swego życia. Kochany i szanowany w całej okolicy, gdzie we własnym majątku Mzurowie zamieszkiwał, posiadał także niemałą miłość ludu i zaufanie jakiem słusznie mógł się pochlubić. Cichy, skromny, ożywiony najczystszą wiarą, wolną od wszelkiego fanatyzmu, zawsze wesoły, w trosce ufający Opatrzności, w radości umiarkowany, nikomu nienarażający się, przebył żywot swój równie w cichej pracy, otoczony powszechną miłością wszystkich co go bliżej znali.

Smutny to obowiązek martwą literą pisma stawiać pomnik żalu człowiekowi, którego serce ukochało. Boleść mąci myśli, łza je zaciemnia, a żal nad wszystkiem góruje. Cześć więc pamięci zmarłego! Z krainy wieczności, gdzie duch Twój unosi się wolny od ziemskich cierpień, czuwaj nad naszemi sercami i nie daj im zwątpić w tryumf dobrego, tak jak Ty wierzyłeś nigdy nie wątpiąc.

J. K. Gregorowicz.

Z pod naszej strzechy.

Treść: Aura. — Zdrowotność Warszawy. — Miesięcznik „Zdrowie". — Zamieszki we Francyi z przyczyny szczepienia ospy. — Jej wpływ. — Sztuczny deszcz. — Kaczki i kłamstwa dziennikarskie. — Pojedynek kobiety w obronie swej godności. — Klub wioślarski.—Stowarzyszenie przeciw turniurom i krynolinom. — Wiejska kobieta bohaterką. — Uczenice uzdolnione w pszczelnictwie.

Od tygodnia przeszło, aura, jak niegdyś głosił „Kuryer Warszawski", darzy Warszawę mniej już deszczem a więcej pogodą, zdobną nawet często uśmiechem słonecznego blasku.

Po długotrwałej fladze, radość to wielka dla warszawiaków, cieszących się zawsze, gdy tłumami mogą ulice i ogrody napełniać. Roją się też wszędzie, a choć roboty kanalizacyjne ruch niezmiernie utrudniają, tramwaje w biegu wstrzymują, nadzieja jednak przyszłej zdrowotności miasta, pono w Europie najniezdrowszego, niedogodność tę niezmiernie łagodzi.

Mimo przecie tej znanej i uznanej niezdrowotności Warszawy, prasa peryodyczna w obojętnej zaspałości długie przebyła lata i dopiero nie tak zbyt dawno, zaczęła majaczyć o hygienicznem miast gospodarstwie, dawno w świecie praktykowanem, a u nas wielce zbliżonem do bajdy o żelaznym wilku, ryczącym setką głosów zamkniętych w nim potworów.

Do tych usiłowań godnych uznania, wielką pomoc stanowić będzie nowo otworzone Pismo peryodyczne p. t. „Zdrowie" miesięcznik, poświęcony hygenie publicznej i prywatnej. Pierwszy numer za Październik, bardzo się dobrze przedstawił, dowodząc wielkiej staranności Redakcyi. W artykule wstępnym, poświęconym wykazaniu korzyści jakie odnosi społeczność z rozwinięcia starań o zdrowie, powiada autor, iż w mieście Croydon, po zaprowadzeniu wodociągów, kanalizacyi, urządzeń irygacyjnych, łaźni publicznych, bydłobójni wzorowych i t. p., śmiertelność stopniowo zmniejszając się spadła wreszcie z 24,03 do 19,56 na tysiąc.

W innych miastach ubytek umierających znacznie był większy, zmniejszył się o dziesięć osób na tysiąc, co stanowi dowód bardzo wymowny pożytku ulepszeń sanitarnych. Wprawdzie życia nieśmiertelnem nic nie zrobi, ale pod wpływem hygieny umniejszy przypadłości chorobliwe a samo życie przedłuży i utratę go zrobi naturalną, w sen niejako przechodzącą.

Ciekawa rzecz bardzo, jak się rozwinie kwestya szczepienia ospy dziś wszystkich obowiązująca, przeciwko której szemrania dawno wywodzone, zmieniły się wreszcie w publiczną demonstracyą. Z Francyi bowiem donoszą, że w Montreal liczne tłumy przebiegały miasto krzycząc: precz z anglikami! śmierć lekarzom szczepiącym ospę! Przy tych okrzykach strzelano z pistoletów i gwałtem chciano zapalić mieszkania urzędników sanitarnych.

Dlaczego strzelano i usiłowano dopełnić gwałtu na osobach zupełnie niewinnych, niewiadomo, ale że ten gniew na szczepienie ospy ma pewną zasadę, to zdaje się nie podlegać wątpliwości.

Dawniej, powiadają, ospa straszne robiła spustoszenie pomiędzy dziećmi. To prawda, ale zabierała słabe organizmy, a silne zostawiała, których żelazne niejako zdrowie i wytrzymałość na niewygody dziś wszystkich obudza podziw. Szczepienie biedaków słabych organicznie oszczędza, ale czy im robi łaskę? Słabość ta organiczna zwiększając się w pokoleniach następujących po sobie, bardzo prawdopodobnie dziś żyjące zrobiła tak wątłem i chorobliwem. Natura nie znosi sprzeciwiania się jej działalności i karze za wszelkie popełnione względem niej nadużycia.

Jaki obrót sprawa ospy weźmie w przyszłości, przewidzieć trudno, ale że wielce byłoby pożyteczne, urządzanie podczas lata w wielkich miastach sztucznego deszczu to każdy przyzna. Projekt ten ogłosił niejaki Maks Nansouti w dzienniku francuzkim Géniecivil, mający wejść w wykonanie przez urządzenie wysokich rur na kołach i czerpania wody z wodociągów, która byłaby rozlewaną przez sito w kształcie drobniutkiego pyłu.

Śliczny pomysł, choć na kaczkę dziennikarską wyglądający: u nas podobnie zręcznych kompozycyi nie umieją jeszcze układać, ale z kozła zrobić barana to majstrów na to dosyć posiadamy.

Niedawno ogłoszono, iż niejaki I. otruł się trychniną zjadłszy kiełbasę; zamknięto więc sklep rzeźnikowi, zrobiono w nim rewizyą, wszystko poprzewracano do góry nogami, przeprowadzono śledztwo i cóż się z niego pokazało? Oto, że I. otruł się *strychniną* a kiełbasy u tego rzeźnika nawet nie kupował.

O kobiecie za kradzież mięsa wyszturchanej przez czeladnika, doniesiono także, że leży umierająca w szpitalu, tymczasem nie groziło jej najmniejsze niebezpieczeństwo i dziś zapewne zdrowa jak rydz, śmieje się skrycie z figla, jakiego przez zemstę czeladnikowi spłatała.

Doktora Chałubińskiego uległego małej niedyspozycyi, ogłoszono sparaliżowanym i to w tym dniu, kiedy już chorych w Warszawie odwiedzał.

Z powodu podobnych awanturek sądząc reporterów, przyznano im jak najlepsze serce, gdyż kiedy zecer strzela bąki, korektor tępi byki, reporter złowioną kaczkę swobodnie w świat puszcza.

Niedawno jednak „Kuryer Warszawski" pomieścił wiadomość dającą wiele do myślenia, wyglądającą trochę na kaczkę dziennikarską a trochę niby na prawdę.

Oto powiada, że p. *** mając żal do pani X. za danego mu podobno odkosza, rzucił potwarz na jej honor niczem nie usprawiedliwioną. Obrażonej nie brakło obrońców, którzy chcieli ująć się i rozprawić z potwarcą, lecz pani X. stanowczo się temu sprzeciwiła oświadczając, iż sama stanie w obronie własnego honoru. Pan *** otrzymał więc od kobiety formalne wyzwanie i pod zagrożeniem czynnej zniewagi przyjął warunki oryginalnego pojedynku. Strzelano się daleko od Warszawy, obie strony chybiły, pani X. domagała się powtórnego nabicia pistoletów, ale sekundanci sprzeciwili się temu i skłonili pana *** do formalnych przeprosin.

Całe to doniesienie dziwnie jakoś wygląda. Jeżeli nikczemnością jest spotwarzanie uczciwej kobiety, to czemś jeszcze gorszem strzelanie do tej, którą się tak ciężko obraziło.

Wyzwanie nic tu nie usprawiedliwia, przeprosiny i przed pojedynkiem mogły nastąpić, a gdyby do strzału koniecznie przyjść miało, to wyzwany mógł z pistoletu w powietrze wystrzelić a pierś śmiało nadstawić na strzał obrażonej. Byłby to dowód szlachetnej odwagi... ale potwarcy jej nie posiadają.

W każdym razie, czy historyjka ta jest prawdą czy tylko kaczką, samo jej powstanie dowodzi możności podobnego zajścia, co zaś jest możebnem dziś, to jutro stanie się z pewnością.

Jako zapowiedź tej chęci kobiet naszych współzawodniczenia z brutalną siłą męzką, można uważać krążącą wieść o założeniu w Warszawie klubu dla wioślarek, do któregoby same tylko kobiety należały. Podobno projekt ustawy jest już wyrobiony, przeciw niej nie mamy nic do nadmienienia, byle działalność pań klubistek nie przekraczała granic właściwych.

W Szwecyi powstało stowarzyszenie ale zupełnie innego rodzaju, którego członkowie zobowiązali się nie tańczyć, nie rozmawiać a tembardziej nie żenić się z paniami... noszącemi turniury lub krynoliny.

Wojna więc tam zawrzała na wszystkich punktach, któż w niej zwycięztwo odniesie? Moda to armia, choć bez dział i karabinów, jak co postanowi to nic nie pomoże, musisz spełniać co każe mimo chęci do oporu. Ale Szwedzi długo myślą nim coś przedsięwezmą, a wówczas stają się taranem góry płaszczącym w doliny. Lecz i kobietom nie zbywa na podobnej energii.

Oto pewna wiejska kobieta, której mąż znajdował się w armii na Kaukazie, nie mogąc znieść tego rozdziału, postanowiła połączyć się ze swym ukochanym. Biedna, bez zasobów, przez lat parę zaoszczędziwszy co mogła i sprzedawszy całe posiadane mienie, wroku 1853 pojechała na Kaukaz i tam po kilkoletnim pobycie razem z mężem przeszła do Persyi. Mąż wkrótce umarł, wdowa postanowiła wrócić do rodzinnego kąta, ale jak tu dokonać tego bez pieniędzy i z trojgiem do tego dzieci? Poszła więc w służbę do jakiegoś domu perskiego i tam służąc długie lata i oszczędzając zebrała tyle, że mogła dostać się do Konstantynopola. Tu znowu znalazła się bez grosza, ale przy pomocy księży rodaków, których wszędzie wynaleźć umiała, przyjęto ją w służbę do kuchni sułtańskiej. I znów rozpoczęła ciężką pracę i ciułanie groszaków, nie zaniedbując dzieci, które wszystko troje nauczyła mówić językiem rodzinnym i wychować w religii swojej. Po trzydziestoletniej przeszło tułce wkłócędzie po świecie, przybyła wreszcie do Warszawy z dziećmi wychowanemi w obyczaju praojców i żeby nie być nikomu ciężarem, poszła w służbę uszczęśliwiona, że jest między swemi.

I czyjeż serce nie poruszy się współczuciem dla biednej, prostej kobiety, która przez trzy dziesiątki przeszło lat, żyła samem tylko poświęceniem?

W muzeum pszczelniczem na Koszykach, po ukończeniu kursu nauki pszczelnictwa, świadectwa uzdolnienia otrzymały następujące uczenice:

Antonowicz Stanisława, Andrzejkowicz Zuzanna, Betlej Cecylia, Bogdanowicz Marya, Chodakowska Anna, Dąbska Aniela, Dobiecka Jadwiga, Gątkiewicz Jadwiga, Gąsiorowska Walerya, Grabowska Marya, Kamieńska Wanda, Kloska Wiktorya, Kondratowicz Elżbieta, Kossowska Władysława, Korewianka Teresa, Korzeniowska Tekla, Malinowska Marya, Nehryng Michalina, Niedziałkowska Helena, Nowicka Augusta, Panuszewska Helena, Plebańska Leontyna, Roszkowska Aleksandra, Stackiel Weronika, Stępowska Stanisława, Strzeszewska Marya, Trzcińska Natalia, Waryńska Helena, Wolska Karolina, Hennel Zofia, Wojde Eugenia, Wnorowska Aniela, Zbyszewska Antonina.

ROZMAITOŚCI.

Handel perłami.

Pan Bouchon Brandety delegat rządu francuzkiego do Australii, złożył raport wielce zajmujący o połowie pereł w tej części świata.

Niewinne ślimaki, powiada delegat, spoczywające na dnie morskiem nie domyślają się pewno, jak wielkie znaczenie posiada uskutecznione przez nich dzieło. Nie wspominając już o czasach starożytnych, posiadających perły kilkonastomilionowej wartości; przypomnimy tylko o posiadanej perle przez Filipa II hiszpańskiego, zbliżonej wielkością do jaja gołębiego, a wartującej sto tysięcy dukatów. Monarcha ten może być danym niewątpliwie za wzór mężom całego świata. W dzień imienin swej małżonki Elżbiety posłał jej na wiązanie talerz sałaty, w której liście złożone były ze szmaragdów, rubiny zastępowały ocet, topazy oliwę, sól różnej wielkości perły, a talerz wyrobiony był ze szczerego złota i przyozdobiony brylantami.

W przeszłości rozmaite okolice kuli ziemskiej dostarczały tego produktu, szczególniej ocean Indyjski, zatoka Perska i morze Czerwone; po odkryciu Ameryki, wyspa Małgorzaty, Kalifornia, Peru i zatoka Meksykańska. W ostatnich czasach poszukiwacze pereł zwrócili swe usiłowania ku oceanii i jak dowiadujemy się ze wzmiankowanego raportu, widoki ich nie były zawiedzione. Na archipelagu Tuanolu należącym do Francyi a złożonym z ośmdziesięciu wysp, siedmdziesiąt cztery posiada perły w wielkiej obfitości, znacznie mniej jednak, aniżeli to ma miejsce na oceanie Indyjskim. Mimo to dostarczają one za kilkakroć sto tysięcy franków rocznie pereł, a prócz tego dwieście pięćdziesiąt tonnów perłowej macicy. Wedle zdania pana Bouchon Brandety, cyfry te wkrótce podwojone zostaną. Rząd jednak francuzki nie ciągnie z tego źródła najmniejszego zysku, dozwalając wszystkim bez żadnego ograniczenia zajmować się tym przemysłem; postępowanie Anglików jest odmienne, wydzierżawiają oni nieraz za grubą opłatą prawo połowu pereł w swych posiadłościach.

Złowione perły na archipelagu Tuamolu stają się po większej części własnością: amerykańskich, angielskich a szczególniej niemieckich negocyantów i dopiero za ich pośrednictwem przybywają do Paryża.

Na 94,000 gram pereł, sprowadzonych w roku

1883, 84,000 gram przybyło z Niemiec, 5,000 z Nowej Grenady, 4,000 ze Stanów Zjednoczonych Ameryki a 1,000 gram z różnych źródeł. Dla zakupna pereł w posiadłościach francuzkich, wyjechało zaledwie dwóch z Paryża kupców i to od niedawnego czasu. W tem położeniu wszelkie pomysły zmierzające do sprowadzania pereł do Francyi bez pośrednictwa obcych negocyantów, do niczego nie prowadzą. Podawane środki do zniweczenia tyle kosztownego pośrednictwa są następujące:

Jedni chcą podwyższyć opłatę na granicy, ale znaczna więkność jest przekonaną o bezskuteczności tego środka, ponieważ perły można ukryć przed wzrokiem celników z wielką łatwością.

Inny projekt zdaje się praktyczniejszy, zasadza się na wytworzeniu filli banku rolniczego, którąby posiadaczom tego produktu płaciła jedną czwartą część rzeczywistej wartości, trzy czwarte zaś aby im wręczyła po sprzedaży, potrąciwszy koszta przesyłki.

Zachodzi jednak ważna okoliczność utrudniająca przyjęcie tego systemu, oto cena pereł jest nadzwyczaj zmienna; posiadają one bowiem właściwą sobie rozmaitość pod względem barwy i postaci, kapryśna zaś moda czasem jednemu, czasem drugiemu kolorowi nadaje przewagę, niezapominając również i o kształtach.

Bywają perły białe, szare, czarne, lila, różowe, niebieskie i żółte, zbliżone do gruszek, guzików, przypominające trapez lub koło. Przez długi czas białe perły były najmodniejsze, później niebieskie a teraz czarne.

Na cenę ich wpływa również możność dobrania podobnych sobie; pojedyńcza naprzykład perła warta jest dwa lub trzy tysiące, a jeżeli znajdzie się druga taka sama, w takim razie jubiler płaci bez skrzywienia się dziesięć do dwunastu tysięcy franków, czyli pięć lub sześć tysięcy za jednę. Zachodzi więc niemała trudność do przezwyciężenia tylu zawad.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Do zacnych serc.** Jak zawsze tak i w obecnie zbliżającej się ostatecznej chwili terminu opłat szkolnych, odzywamy się do ofiarności ogółu. Powołujemy do spełnienia tak zacnego dzieła, nie tylko Warszawę i kraj cały, lecz każdy najdalszy świata zakątek, w którym rozlega się dźwięk naszej mowy i pamięć o obowiązkach względem własnego społeczeństwa jaśnieje w pełni.

W bieżącem półroczu potrzeby są wielkie, liczba biednej, uczącej się młodzieży jest znaczniejsza niż zwykle, a fundusze któremi redakcye rozporządzają, bardzo niewystarczające.

Kilkudziesięciu młodych ludzi oczekuje na pomoc, która stanie się długiem zahypotekowanym na ich wdzięczności, a gwarancya tego rodzaju nigdy nie zawodzi. Otrzymawszy dziś z rąk naszych możność nauki i pracy, staną się kiedyś użytecznymi ludźmi i o biedniejszych od siebie całe życie będą pamiętali.

Nie wątpimy, że ofiarność współobywateli nie skaże młodzieńców na opuszczenie ławy szkolnej, której niejeden jest prawdziwą ozdobą.

*** **Zjazdy i narady** specyalistów są pod każdym względem faktami godnemi zaznaczenia, po każdym więc z takich dla rozwoju dobrobytu ekonomicznego i przemysłowego, spodziewamy się wiele.

Zaznaczamy więc, że przy końcu bieżącego miesiąca nastąpi zjazd górników w Warszawie, a narady odbędą się w sali ratuszowej. Celem zjazdu jest roztrząśnięcie kilku ważnych punktów w kwestyi rozwoju górnictwa a między innemi: o środkach rozwinięcia przemysłu weglanego, o sposobach fabrykacyi wyrobów cynkowych i ołowianych, o założeniu szkoły górniczej w Dąbrowie i o utworzeniu towarzystwa górniczego.

Kwestya kas i pomocy dla robotników tego fachu, narażonych niemal codziennie na utratę życia lub kalectwo, należy również do najbardziej naglących i pominiętą nie będzie. Górnictwo nie znajduje się u nas w kwitnącym stanie, rozwija się przecież o ile możności, a los pracowników tak dużo pozostawia do życzenia, że wartoby o nich pomyśleć.

Gazeta radomska proponuje, aby zjazd odbył się w Radomiu, który leży w samem centrum zakładów górniczych, a obywatele miejscowi ofiarują na ten cel bezpłatnie lokal przez czas zjazdu.

*** **Gromada to wielki człowiek!** woła główny założyciel naszego zwierzyńca, spowiadając się ogółowi ze swych widoków i nadziei, które niestety w znacznej części zawiodły go srodze.

Już to zwykle tak bywa u nas, że przy powstawaniu nowej a pożytecznej instytucyi, wszystkich ogarnia zapał, każdy chciałby do tej budowy choć cegiełkę przyłożyć i nie obrachowując czy go stać na nią, zapisje się kto żyje. Smutny fakt powtórzył się i tutaj.

Z projektowanych przy umowie spółkowej 60 tysięcy, zaledwie dotychczas zebrało się 25, suma nie wystarczająca na utrzymanie chociażby najskromniejszego zwierzyńca, czyli raczej na pobudowanie ciepłych domów, służących dla ochrony delikatniejszych okazów.

Aby zapewnić zwierzyńcowi, którego pedagogiczne i obyczajowe znaczenie każdy dziś rozumie, potrzeba jeszcze przynajmniej szesnastu tysięcy.

Znowu składka! zawołają nasze czytelniczki i to składka duża! Bynajmniej, idzie tylko o to, by w czasie wiodącym do zimowego sezonu zwiedzać ogród zoologiczny jak najczęściej i możliwie największe zapewnić mu dochody. Dzieci nasze tak potrzebują ruchu i powietrza, dalej więc dopóki słońce świeci i sprzyja pogoda, spieszmy do Bagateli pokazać im zwierzątka znane i nieznane, których liczba ciągle wzrasta, gdyż pomimo niesprzyjających warunków zarząd gromadzi nowe okazy i o rozwój instytucyi usilnie się stara.

*** **Taniość soli** jest skutkiem znacznego dowozu soli donieckiej. Obecnie przywóz ten prawdopodobnie powiększy się jeszcze, skutkiem obniżenia taryfy kolejowej. Odkryto tam niedawno nowe pokłady i zaczęto je eksploatować, a kilku tutejszych przemysłowców należy do przedsiębiorstwa.

Sól ciechocińska stanieć nie może, tamta zaś zrobi jej bardzo poważną konkurencyą, lecz za to sól z kopalni galicyjskich i węgierskich zupełnie z naszych rynków jako droższa ustąpić będzie zmuszona.

W ubiegłym tygodniu notowane ceny niższe o grosz na funcie, z powodów przytoczonych, powinnyby spaść w bardzo krótkim czasie.

Notujemy tę okoliczność dla gospodyń, które często przez sługi wyzyskiwane bywają; różnica tak drobna w budżecie domowym nic nie znaczy, lecz kontrola nad sługą strzeże ostatnią od demoralizacyi a to najważniejsze.

*** **Pożyteczna reforma.** Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, instytucya nowa wprawdzie, ale już stosunkowo bardzo zasłużona; przyspasabia projekt zmian w urządzeniach cechowych i wogóle stosunków rzemieślniczych. Obecnie układają się szematy umów, pomiędzy majstrami i rodzicami lub opiekunami, oddającymi chłopców do terminu.

Ustalenie form takich kontraktów może skutecznie zapobiedz wszelkim nadużyciom, jakie dotychczas się powtarzały i wyzyskom ze strony majstrów. Chłopiec oddawany do rzemiosła był ofiarą, skazańcem terminowym, któremu nie pozostało nic innego do wyboru tylko cierpiéć i czekać „wyzwolin". Czy to wszystko co przeszedł zamiast nauczyć go za pomocą doświadczenia, jak ma nie postępować, nie demoralizowało go raczej, powiedzą fakta. Nie ulega wątpliwości, że ów nieszczęśliwy chłopiec, zostawszy majstrem, z innymi „chłopcami" swą metodę wyzysku powtarzał wiernie.

Dziś gdy umowa zmieni ten stosunek i postawi go w warankach bardziej odpowiadających poczuciu godności ludzkiej, terminator przestanie być wyzyskiwaną ofiarą swego pana i władzcy, lecz stanie się jego uczniem i pomocnikiem, w miarę sił i uzdolnienia.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Praktyczność niemców** na każdym kroku i w każdem położeniu, chociażby najtrudniejszem daje sobie radę. Pojedynek traktowany przez wielu jak przestarzały zabytek średniowiecznych ceremonii, a jednak będący w niektórych wypadkach jedyną możliwą drogą wyjścia, różnie przez prusaków się odbywa. Potomkowie dumnych rycerzy i wojowniczych freiherów potrafią dziś rozwiązywać honorowe kwestye bez przelewu szacownej krwi, której im szkoda.

Jeden z takich pojedynków odbył się w Królewcu ostatniemi czasy.

Na miejscu spotkania przytwierdzono do drzewa cel, wyobrażający żołnierza naturalnej wielkości, do którego obie strony miały strzelać.

Gorzej strzelający następnie uznany został za zwyciężonego i zapłacił umówioną karę (zapewne na korzyść zwycięzcy), poczem obaj przeciwnicy w najlepszej zgodzie opuścili miejsce pojedynku.

Praktyczni „landsmani" klepią się po okrągłych brzuszkach, kontenci z pomysłu, kwestya pojedynku rozstrzygnięta; najspokojniejszy i najbardziej otyły „bürger" może wyzwać współrodaka przy kuflu piwa, nie umiejąc strzelać — zapłaci, w przeciwnym zaś wypadku zarobi kilka talarów, i — *Ende gutt, alles gut.*

*** **Z wystawy antwerpskiej** otrzymujemy bardzo przyjemną wiadomość: D-r Juljan Ochorowicz otrzymał najwyższą nagrodę, medal złoty, za przedstawione wynalazki elektryczne. Znakomity nasz ziomek ciągle pracując na polu naukowem zdobywa coraz więcej rozgłosu i sławy aż nadto zasłużonej.

Przez telefon, którego zalety mieliśmy sposobność ocenić na ostatniej wystawie rolniczo-przemysłowej, królowa słucha w Ostendzie opery brukselskiej (Théatre de la Monneie). Odległość tych dwóch punktów wynosi 125 kilometrów.

P. Barbier, konstruktor telefonów Ochorowicza, otrzymał również złoty medal.

Na pociechę dodajemy, że nietylko u nas malkontentów nie brakuje, gdyż wyroki jury wystawowego

wywołały w Antwerpii dużo reklamacyi. Znaczna liczba wystawców udała się do jeneralnego komisaryatu z zażaleniem.

Niektórzy odmawiają przyjęcia nagród, twierdząc, że ogłoszenie ich w „Moniteur Belge", zaszkodziłoby im tylko.

Rząd nie zwraca uwagi na te krzyki, gdyż jury ma jedynie prawo przyznawania nagród i żaden z wyroków cofniętym nie będzie.

*** **Z dziejów teatru.** Jeszcze za czasów Szekspira scena znajdowała się w bardzo pierwotnym stanie.

W „Globe" teatrze letnim nieśmiertelnego twórcy Hamleta, publiczność zachowywała się bardzo swobodnie. Obrzucano się łupinami z pomarańcz i orzechów, a złota młodzież siedziała lub leżała na scenie stosownie do gustu. Uważano za zbyteczne krępować się pod tym względem, każdy miał zupełną swobodę, ale też kobiety nie uczęszczały wcale do teatrów, aż dopiero w XVII wieku i to pod osłoną masek. Do owego czasu nie istniały też aktorki, role kobiet odgrywali chłopcy lub młodzieńcy.

Jeszcze za Karola II zdarzyło się, iż dyrektor podczas przedstawienia kreacyi Szekspira, rzekł do monarchy, zniecierpliwionego długiem oczekiwaniem: Zaraz, za chwilę, królowa jeszcze nie ogolona!...

Aktorki i dekoracye przybyły już później jako paryzka inowacya, ze stolicy Francyi, gdzie złota młodzież zasiadając na scenie przerywała sztukę odpowiedniemi uwagami.

W roku 1759 hr. Laragnais za znaczną sumę nabył od modnych paniczów prawo siadania na scenie, która też od tej pory, zarówno w Paryżu jak w Londynie przestała być zarazem miejscem dla widzów.

*** **Konkurs.** Cesarzowa niemiecka wyznaczyła nagrodę 4,000 marek za projekt najlepszego szpitala polowego, który w czasie wojny tak ważną odgrywa rolę.

Planów nie brakło, specyaliści i nie specyaliści łamali sobie głowę, zarówno dla sławy jak i nagrody, lecz z pomiędzy wszystkich najlepszym się okazał projekt p. Duckera z Brooklynu.

Szpital nagrodzony na konkursie, ma 35 stóp długości, 17 stóp szerokości, długości przy ścianach 6 i pół stopy, we środku zaś 10 i pół stóp. Zbudowany jest z drzewa i muślinu ogniotrwałego, zimowy waży 2 i pół centnarów, letni zaś 1 i pół tylko, posiada wszelkie wymagane przymioty.

Koszt budowy i materyału nie przenosi tysiąca marek, a złożyć go można w ciągu godziny, przy pomocy dwóch ludzi.

Pierwszy to raz poczciwi cywilizatorowie z nad Sprei powiedzieć sobie będą mogli: *Billig und gut.*

*** **Bajeczne honoraryum.** Adelina Patti bardzo wysoko ceniąca artystyczną wartość swego talentu, czemu się zresztą dziwić nie można, gdyż posiada go istotnie, przerachowała się tym razem.

Zawierając kontrakt z impresariem Szürmanem o występy w różnych stolicach Europy, zażądała po 25,000 fr. za każdy wieczór; przedsiębiorca chętnie na warunki się zgodził i zdawaćby się mogło, że kwestya skończona, a krocie tysięcy płynąć zaczną niebawem do kieszeni divy.

Los inaczej zrządził. Okazało się, że te występy na niczem się skończą, gdyż wcale ich nie będzie.

Już w Brukselii i Amsterdamie nie znalazł się dyrektor, którýby się zdecydował chociaż na jeden występ udzielić w takich warunkach swego teatru.

Największe teatra, aby zapewnić artystce tak wysokie honorarium, musiałyby ustanowić cenę miejsc po kilkadziesiąt franków, a w takim razie nawet w Paryżu i Londynie niepodobna byłoby marzyć o pełnej sali.

Żegnajcie, miłe krocie! Może wam sądzono w coś pożyteczniejszego się obrócić, biedakom otrzeć łzę niedoli, oświatę podnieść, od zbrodni uratować, kto wie, jakie jest przeznaczenie wasze!

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie ze stanikiem pod szyję. Do spódnicy jedwabnej ubranej plisami aksamitnemi, zrobiony stanik aksamitny, z kamizelką, stojącym kołnierzykiem i rękawami materyalnemi, ozdobionemi sutym haftem robionym sznelą i perełkami. Szerokie szlaki takiego haftu zdobią także sutą draperyą spódnicy.

Ubranie ze stanikiem wyciętym. Przez długą draperyę i szeroką falbanę z gazy deseniowej, przegląda spódnica z kolorowej, jedwabnej materyi. Stanik wycięty z krótkiemi rękawkami, odrobiony z jedwabnego repsu, zapinany z tyłu, zdobi garnirunek chusteczkowy, z krepy i koronki, przedłużony nakształt berty przy wykroju pleców.

NOWE WYDAWNICTWA.

Nakładem Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie, wyszły dwie nowe powieści J. I. Kraszewskiego:

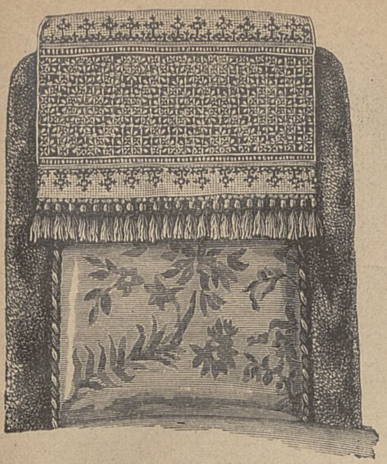
Banita, z czasów Batorego, tomów 3. Cena rs. 3.

Bajbuza, z czasów Zygmunta III, tomów 3. Cena rs. 3.

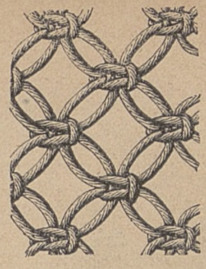
Złotej Przędzy poetów i prozaików polskich. Nakładem Wł. Maleszewskiego i Teodora Paprockiego i S-ki, wyszedł zeszyt 30 ogólnego zbioru. Cena na miejscu każdego zeszytu kop. 35, na prowincyi kop. 45.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Сентября 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).



N. 1. Serwetka na poręcz do krzesła. Patrz ryc. 4—6 w N. 40.



N. 3. Robota wiązana do ryc. 5.



N. 2. Kapotka. Przód i opis w N. 40, ryc. 13.

Opis do N-ru 41.

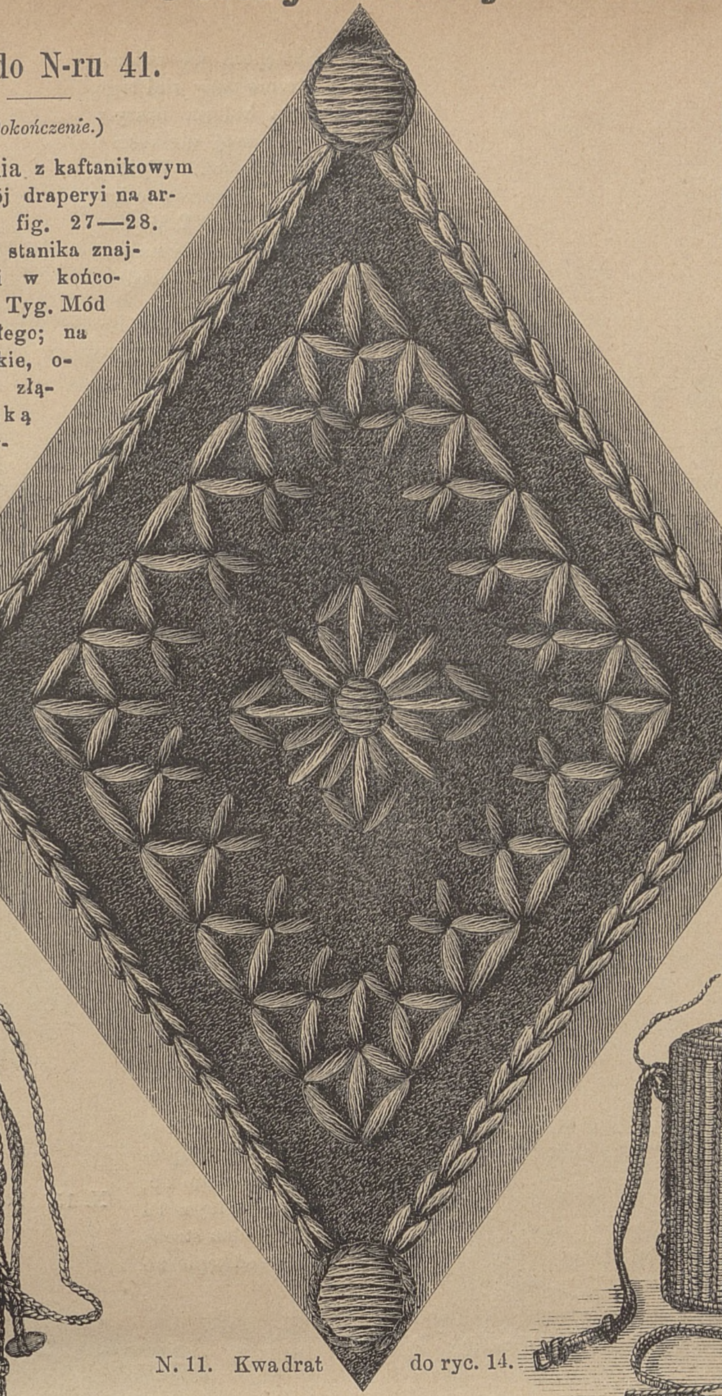
(*Dokończenie.*)

N. 19. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój draperyi na arkuszu N. IV, fig. 27—28.

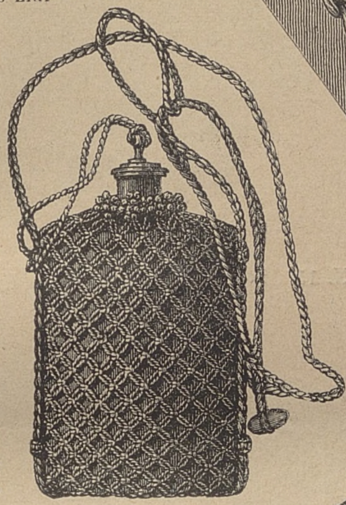
Krój takiego stanika znajdą czytelniczki w końcowych numerach Tyg. Mód z roku przeszłego; na ryc. 19 krótkie, otwarte przody złączone są krótką patką pod wykładanym kołnierzem. Plecy zakończone krótkim fałdowanym karoczkiem; kamizelka pokryta marszczoną wełnianą koronką, przyciśnięta jest fałdowanym paskiem, wpuszczonym w szew z jednego boku, z drugiego zapiętym na haftki. Oryginalne marszczone rękawy, dopełnione wysokim obcisłym mankietem. Fig. 28 przedstawia z tyłu spódnicę, z jednego tylko boku złożoną w kontrafałdę potrójną, dalej zaś zmarszczoną i wszytą w pasek, u dołu zaszytą w zakładki po 4 cent. szerokie i zdobną koronką wełnianą 11 cent. szeroką. Fig. 27 daje wymiar draperyi, której przednia część *a* brzegiem górnym i prawym bocznym brzegiem sfałdowana i wszyta w pasek, zaś lewy brzeg sfałdowany do 30 cent. łączy się od gwiazdki do dwukropka z tylnym brytem *b*. Lewy brzeg tylnego bryta od krzyżyka do punktu, wązko sfałdowany wszywa się w pasek, jak również górny brzeg od 1 do 67, a od 67 do 127 jest sfałdowany i przyszyty brzegiem rozporka. Róg prawego brzega jest podwinięty pod spód i przyczepiony do sukni.



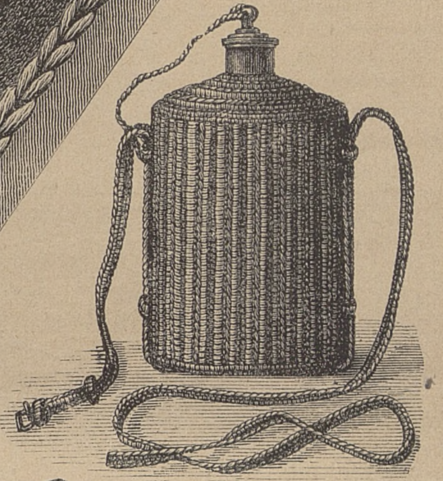
N. 4. Sznureczek pleciony, do ryc. 5.



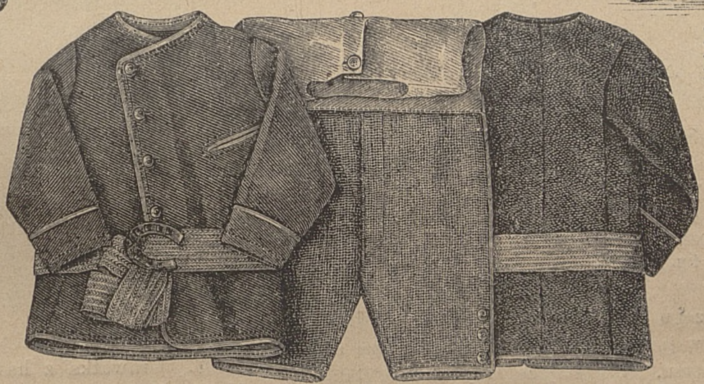
N. 11. Kwadrat do ryc. 14.



N. 5. Flaszka płaska do podróży lub dla myśliwego. Patrz ryc. 3—4 i 6.



N. 6. Flaszka płaska do podróży lub dla myśliwego. Patrz r. 7 i 3-5.



N. 8—10. UBranie dla chłopczyka lat 3—5. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 21—25.

N. 20. Ubranie domowe dla dziewczynki.

Spódniczka złożona z przodu w kontrafałdę 22, cent. szeroką, z boków i z tyłu w 14 cent. szerokie, zaszyta jest w pięć zakładek, po 5 cent. szerokich. Stanik przedłużony w okrągłą baskinę, wzdłuż przodu zapięty na kryte haftki, naszyty jest w równych odstępach pletnią 2 cent. szeroką, u dołu spuszczoną w pukielek i koniec. Na rękawach w podobny sposób odznaczone są mankiety. Kołnierzyk naszyty pletnią zapięty jest z boku rozetą.

N. 22. Rękawiczki naszyte koronką.

Rękawiczki trykotowe sięgające aż do łokcia, zapięte są na ośm guziczków i ozdobione dwoma rzędami koronki jedwabnej, 5 cent. szerokiej.

N. 23. Krawatka z tureckim haftem.

Haft naśladujący starożytne tureckie desenie na bośniackiem płótnie, liczy 14 cent. szerokości, odrobiony kolorowym jedwabiem i zakończony z brzegów dzierganiem. Na całem tle krawatki 23 cent. szerokiej a 155 długiej, dany drobny kolorowy rzucik; wyszyty temi jedwabiami, co szlak dolny.

N. 24. Kołnierzyk wyszyty ściegiem sznureczkowym.

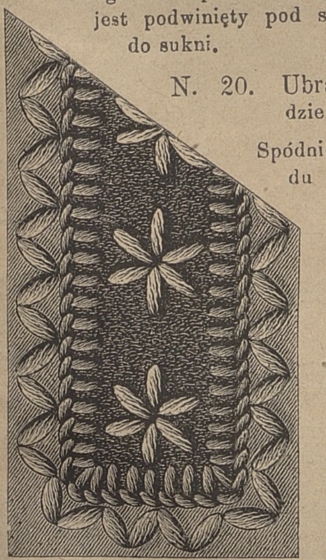
Uszyty z białej kanwy de congrès, 4 cent. szeroki, podłożony sztywnym muślinem i podszyty materyą, ozdobiony jest haftem nitką srebrną i złotą. Górny brzeg zakończony rzędem perełek; na zapięciu kokardka z wstążki.

N. 25. Kołnierz haftowany perełkami. Krój na arkuszu N. IX, fig. 58.

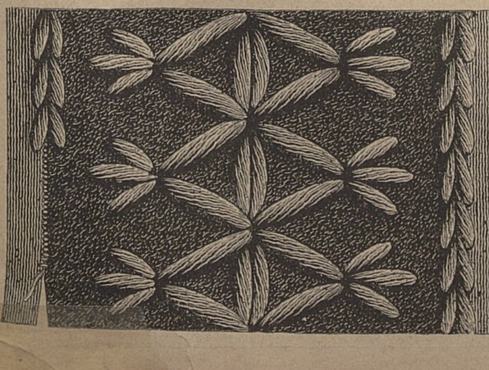
Z boku zapięty na haftki, ściśle otaczający szyję kołnierzyk, kraje się ze sztywnego muślinu podług fig. 58 i z obydwóch stron pokrywa kolorową mate-



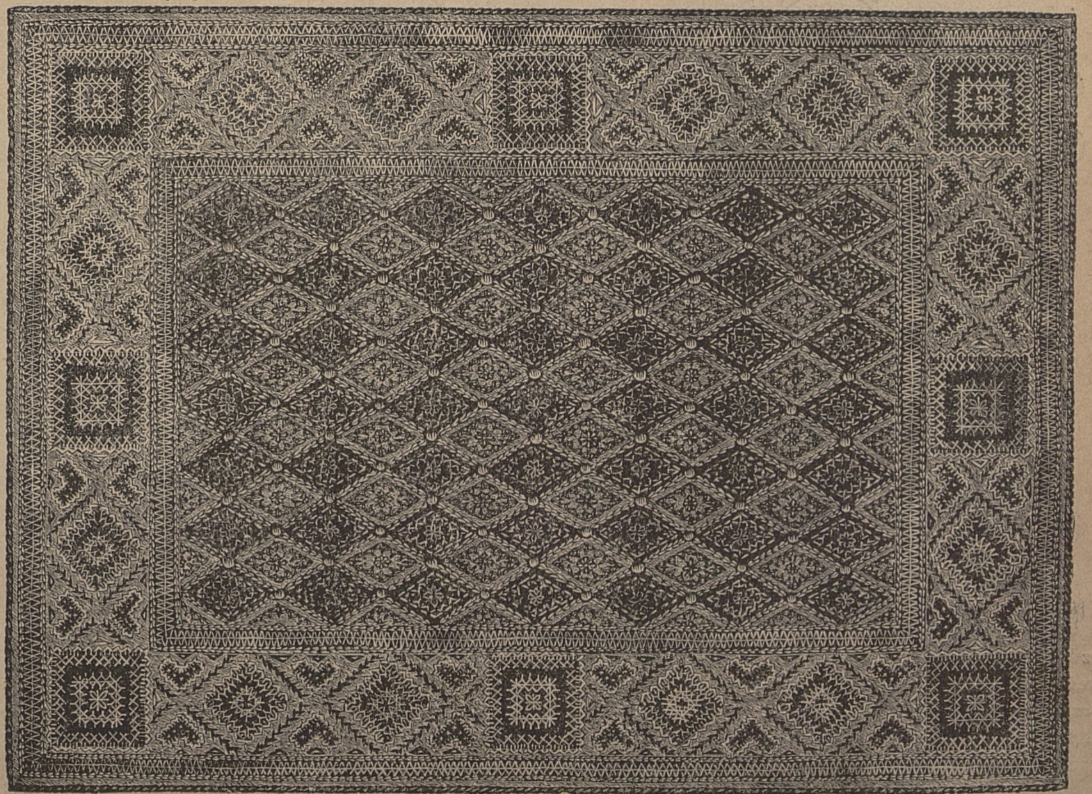
N. 7. Robota szydełkowa na sznureczku do ryc. 6.



N. 12. Połowa trójkąta do ryc. 14.



N. 13. Wązki szlaczek do ryc. 14.



N. 14. Dywanik. Mozajka i haft ściegiem luźnym. Patrz ryc. 11—13 i fig. 63 na arkuszu.



Ubran'a dla młodych panienek.

N. 18. Suknia z paletocikiem. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—13.

N. 19. Suknia z kuftanikowym stanikiem. Krój draperyi na arkuszu N. VI, fig. 27—28.

ryą. Następnie na zwierzchniej stronie dany tiul tego co materya koloru, naszyty perełkami różnej wielkości i złotym bajorkiem. Wykrój szyi można ogarnirować koronką lub riuszą. Takiż pasek bawetowy, zapięty na staniku, przyozdobi go bardzo.

N. 26-27. Chusteczka jedwabna i z płótna gazowego.

Rycina 26 przedstawia chusteczkę jedwabną mienioną ponsowo z zielonem, liczącą w kwadrat 54 cent., zakończoną 9 cent. szerokim obrębem z dwóch brzegów koloru vieil-or, z dwóch innych pomarańczowego. Narożniki zajęte wielkiemi gwoździkami, na całem zaś tle rzucik w kształcie lilii. Druga chusteczka z płótna gazowego liczy w kwadrat 62 c., ozdobiona szlakiem w gałązki kwiatów, drukowane fabrycznie i zębami dzierganemi złotem.

N. 28. Czepeczek upięty z chusteczki.

Denko stanowiła jedwabna chusteczka w rzucik złoty, licząca w kwadrat 54 cent., otoczona obrębem 10 cent. szerokim w deseń kolorowy. Podstawę tworzy pasek sztywnego muślinu lub tiulu, w środku 6, w końcach po 4 c. szeroki, przy zaokrąglonym brzegu przednim 19, przy prostym tylnym 16 cent. długi. Jedna strona chusteczki w odstępie 20 cent. od brzegu fałduje się drobno i przyszywa do paska, a zbywający brzeg od przodu wywija się nakształt ranwersu. Pozostające trzy strony stanowią upięcie tylne, wskazane na ryc. 28.

N. 29—30. Wachlarze.

Ryc. 29 przrdstawia wachlarz z konchy perłowej, nakładanej srebrem i złotem, oklejony gazą jedwabną, ozdobioną efektownem malowaniem, przedstawiającem postacie bogiń na tle gwiaździstego nieba. Na ryc. 30 przedstawiony wachlarz z fijołkowego drzewa nakładanego złotem, w górne, połowie oklejony gazą, zdobną aplikacyą z koronkowych kwiatów, między któremi malowane są ptaszki.



N. 15—17. Staniki do spódnic à la paysane.

N. 15. Stanik skośnie zapięty. Krój ra arkuszu N. I, fig. 1—6. N. 16. Stanik z ranwersami. N. 17. Stanik z gorsecikowem przybraniem.

N. 31. Koronka z tasiemeczki, naśladująca weneckie koronki.

Deseń składa się z dwóch figur, powtarzających się naprzemian, rysuje się na papierze lub kalce i naszywa tasiemeczką szerokości widocznej na ryc. 31. Po przyfastrygowaniu tasiemeczki, trzeba zszywać ją starannie w miejscach gdzie brzegi schodzą się z sobą; szwy te zastępują odznaczenie żyłek w liściach i kwiatach. Gdzie tasiemeczka rozchodzi się szerzej, trzeba dawać pajączki lub różne kratki koronkowe. Wypukło odznaczające się kontury deseniu, naszyte są kręconym sznureczkiem, przyszywanym przez wierzch skośnemi ściegami. Tło między deseniem zapełniają dziergane pręciki z pikotami; u dołu dodane dziergane ząbeczki.

N. 35—36. Sukienka z paletocikiem, dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. X, fig. 51—57.

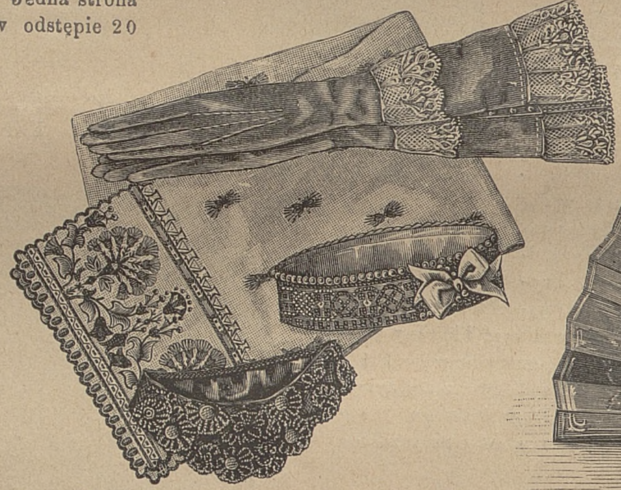
Odrobiona z gładkiego i deseniowego kretonu lub z kaszmiru i repsu jedwabnego, przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 35—36, stanowi odpowiednio do materyału domowe lub strojne ubranie dla panienki. Krój paletocikowego stanika daliśmy na fig. 51—57; szew łączący środkami plecy, daje się od *g* do *h*, z boków od *e* do *f* i od *c* do *d*. Litery *a* i *b* wskazują przyszycie kamizelki, fig. 51, do lewej połowy przodu, z prawej strony zapięty na kryte guziczki. Bufiaste pokrycie kamizelki stanowi prosty kawałek materyału, 48 cent. szeroki, 63 długi, przy wykroju szyi złożony w 6 fałd, u dołu podłożony w bufę 8 cent. szeroką. Odpowiednio do baskiny paletocika, tworzącej jakby trzy patki stopniowej długości, kołnierz i mankiety mają również potrójne rogi, podług fig. 56—57. Spódniczka do ryc. 35 jest plisowana w szerokie fałdy, zaś na ryc. 36 widzimy dodany wolant 22 cent. szeroki, zakończony haftem maszynowym bronzowym na batyście écru, 20 cent. szerokim. Kokardy z wstążki atłasowej, 3 cent. szerokiej.



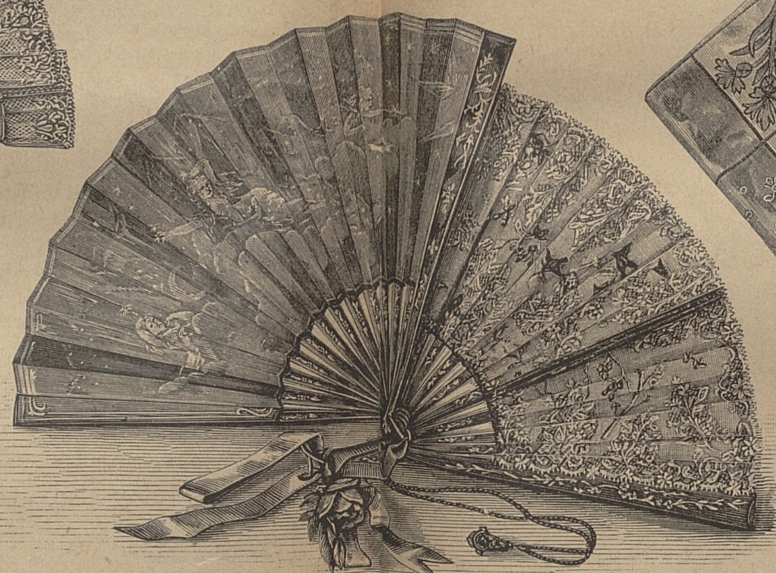
N. 20—21. Ubrania domowe.

N. 20. Sukienka z długim stanikiem.

N. 21. Suknia z vêtement. Krój i opis na arkuszu N. V, fig. 25.



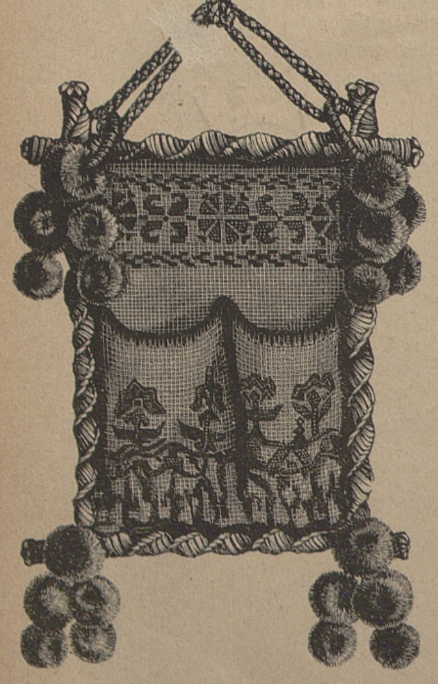
N. 22. Rękawiczki trykotowe.
N. 23. Krawatka z haftem tureckim.
N. 24. Kołnierzyk z wyszyciem krzyżykowem.
N. 25. Kołnierzyk wyszyty perełkami. Krój na arkuszu N. XI, fig. 58.



N. 29—30. Wachlarze ozdobne.



N. 26. Chusteczka jedwabna.
N. 27. Chusteczka z płótna gazowego.
N. 28. Czepeczek upięty z chustki.



N. 32. Torebka wisząca na szczotki.



N. 31. Koronka naśladująca koronki weneckie.



N. 33. Postumencik do doniczki, mozajka z szyszek

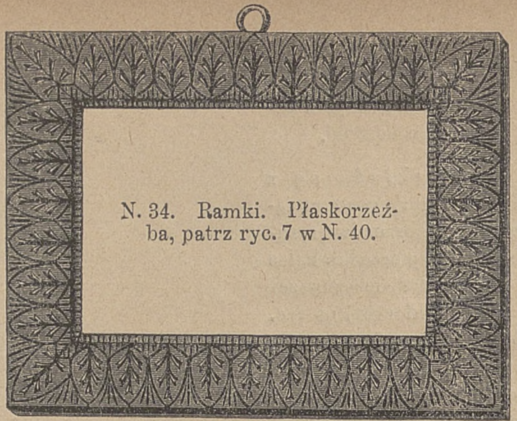


N. 35. Suknia z paletocikowym stanikiem, dla panienki lat 8—10. Patrz ryc. 36.

N. 37. Kwadrat koronkowy. Robota na klockach, licząca 54 nitek. Napięcie deseniu patrz fig. 33 na arkuszu.

Odpowiedni na poduszeczkę toaletową, na saszetkę do chusteczek batystowych, na denko do czepeczka lub t. p., kwadracik ten odrobiony był z jedwabiu piaskowego ściegiem krzyżowanym i płóciennym i wywodzony grubą nitką filozeli różowej i niebieskiej. Napięcie deseniu daliśmy na fig. 33; opisu szczegółowego nie dajemy, bo roboty koronek na klockach trzeba uczyć się specyalnie, opis sam nicby nie wyjaśnił.

N. 39. Opis przy ryc. 1 w N. 40.



N. 34. Ramki. Płaskorzeźba, patrz ryc. 7 w N. 40.

Jabłka suszone.

Na ten cel najlepsze są jabłka gruchoty zwane, które obrawszy z łupin, pokrająć w ćwiartki, jądrka z nich odrzucić, potem jabłka układać na blachach cienko słomą wysłanych, suszyć w wolnym piecu lub po chlebie. Powtórzyć trzeba to suszenie parę razy, gdyż odrazu nigdy nie uschną dokładnie. Gdyby jeszcze były nieco miękkie, można je dosuszyć na powietrzu. Takie jabłka bardzo są dobre raz na komput lub do legumin, lecz w tym razie należy je nalać gorącą wodą na noc, tyle, aby jabłka objęła; nakryć naczynie; w tej wodzie one nabrzękną. Potem gotować zwolna w małej ilości wody, po ugotowaniu przetrzeć i użyć jak świeżych.

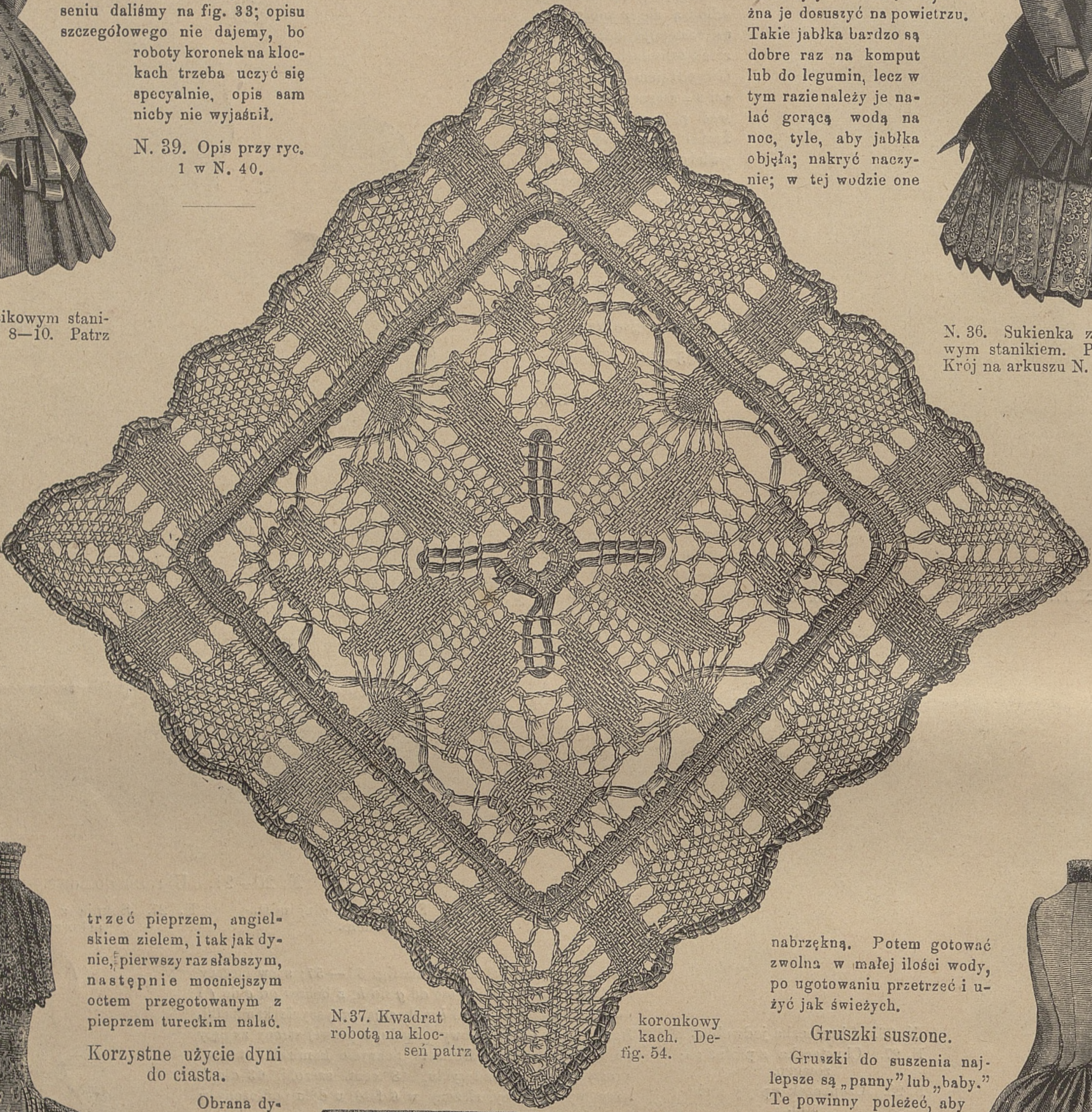


N. 36. Sukienka z paletocikowym stanikiem. Patrz ryc. 35. Krój na arkuszu N. X, f. 51—57.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Dynie lub arbuzy na pikle.

Obrać dojrzałe dynie, pokrająć w jakie się podoba kształty i zagotować w wodzie dobrze osolonej, odcedzić przez przetak, ostudzić, włożyć w słój i zalać octem mocnym, przegotowanym z korzeniami i przestudzonym dobrze: arbuz zaś przekroić na połowę, wyrzucić z niego nasiona, obie połowy natrzeć pieprzem, angielskiem zielem, i tak jak dynie, pierwszy raz słabszym, następnie mocniejszym octem przegotowanym z pieprzem tureckim nalać.



N. 37. Kwadrat koronkowy robotą na klockach. Deseń patrz fig. 54.

Korzystne użycie dyni do ciasta.

Obrana dynia kraje się w kawałki, gotuje miękko w wodzie, i potem odcedza, rozciera się mocno i przepuszcza przez durszlak dla odłączenia włókien. Tak przetarta dynia miesza się z ciastem na bułeczki lub strucle, używa się wmiejsce jaj i pomaga do łatwiejszego rośnięcia, przytem nadaje piękny kolor ciastu, nie udzielając mu swego smaku.



N. 38. Płaszczyk strojny do powozu lub zarzucenia na ubranie wieczorowe. Krój i opis na arkuszu N. VIII, fig. 44—46.

Gruszki suszone.

Gruszki do suszenia najlepsze są „panny" lub „baby." Te powinny poleżeć, aby zmiękły. Jeżeli mają być użyte na komput, trzeba je obetrzeć ze skórki, poprzekrawać i ziarnka z nich wyrzucić; jeżeli do zwyczajnego, to tylko większe się przekrawają. Suszą się tak jak jabłka. Gdyby po niejakim czasie zwilgotniały, można je znowu trochę w letnim piecu przesuszyć.



N. 40. Frendzla do ryc. 8 w N. 40.



N. 39. Płaszczyk z podwójnemi przodami. Opis przy ryc. 1 w N-rze 40.



Pl. 623.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.